

Redakcja Literacka

"Zmazy"Dzień: 20.11.69
godz.: 16⁴⁰ - 17⁰⁰
201

RA. J. L. J.

4X

3X

Po przyjeździe w góry następujące po sobie zdarzenia nie miały takiego charakteru sensacji jak dawniej. Wszyscy przywykli teraz do zaskakujących scen. Zaraz po wyjściu z pociągu uderzył nas widok lekko zarysowanych, nierealnych a jednak rzeczywistych, w trwałym pięknie ~~konturów~~ szczytów, podłużnych plam świerkowych lasów i wypełnionych blaskiem siodła, wądołów i zapadłości, gdzie w gąszczu pokrzyw, zbitych kolczastych krzaków, kryły się zwierzęta i jadowite gady. Przed nimi właśnie ostrzegał nas Gospodarz, autor religijnych malowideł wiszących na chórze; w podobnie zagadkowy sposób mówił Dyrektor, który przesiadywał na werandzie schroniska. Na przekór jego życzeniom i jego chorobie wzmagał się upał, widne smugi otaczały chłopców, ~~chłopcy~~ ^{oni} znikali w krzakach tarniny, błądzili po porębach, gdzie szatan krążył jako ^{per nobile uesi preceptum} lew ryczący. Wcielał się w różne postaci, nakładał nowe maski. Zwodził nas jako przepiękna chłopka susząca siano, pojawiał się jako dziewczica myjąca piersi czy wreszcie stawał przed nami jako Ela, smagła córka Gospodarza.

Ela na widok naszych pałających twarzy odwracała się na pięcie i tutejszym zwyczajem pokazywała mokry język; powiewająca sukienka ^{wkryje} obnażała jej nogi z jabłkami kolan, ściągnięte skórą mięśnie drgające od hamowanej siły. Instyktownie przeczuwaliśmy, że coś podobnego popycha nas do niej. Marzyliśmy o dziewczętach nie tylko dlatego, że męczyły nas zmyry, ale także dlatego, że chcieliśmy poznać siebie, zagłębić się w rozkoszy, docierając do spłotu nerwów, do krwi oblewającej kości i mięśnie, które połączone ścięgnami prężyły się przy działaniu drobnych impulsów. Wszystkie te tkanki i czynności organizmu uświadamiały nam rozkosze, sprawiały, że chłopcy wybałuszali na Elę oczy, krztusili się śliną, dysze-
li z przejęcia i przewracali się na drugi bok, zamykając oczy. Po-

~~dejrzenie zgięci~~ Wstawali z cykoczącej świerszczami łąki i w tym momencie ogłupiali mrugali oczami, bo ziemia, niebo, łąki, lasy i pola wywijają koziółka. Wychowankowie chcieli się wyprostować, ale odklejali tylko z kolan żdźbła, jakby przyklepiona do ciała trawa miała jakiegokolwiek znaczenie. Szli w stronę lasu, gdzie ginęli w chaszczach, które przebijali głowami, rozgarniali gałęzie, przypominając pływaków ciągnących wodorosty skurczonych liści. Chłopcy znikali ^{obumaję} obierając się ^{pojęmani} w pajęczynach, kruszyli suche patyki, gdy tknięty nieokreślonym pragnieniem zrywałem się na równe nogi i biegłem za nimi, potykając się na zarosniętych kretowiskach. Wyczerpany zatrzymałem się na wierzchołku wzniesienia, skąd ogarniałem wzrokiem spiętrzone, nagromadzone przede mną widoki. Patrząc na łagodne zbocza kotliny ocienionej krechami lasów, które kontrastowały z błyszczącymi łąkami, ze skoszoną trawą. Spoglądałem tak i miałem wrażenie, że kłapiąc oddech staje się lżejszy; myślałem że za chwilę uniosę się do góry. I rzeczywiście szybowałem dokonując zaskakujących odkryć. Chałupki na dnie przypominały grzybki rozpychające liście poszycia. Nastroszone wiechcie, zbutwiałe chechoły w sadach, mierzwiły się jak ściółka opatulająca krzaki jagodzin.

Nie słuchając rozmów chłopców, którzy opowiadali swoje przeżycia, szybowałem dalej, kiedy dochodził mnie czyjś śmiech. Sparaliżowany odwracałem się w stronę lasu, gdzie obecnie miałem bliżej niż do schroniska i widziałem - dziewczęta. Nogi uginały się ^{one} przede mną, a dziewczęta schodziły niżej z naręczami kwiatów. Chciałem je przywołać, zagadnąć, powiedzieć coś o sobie, ale zwiewne przegięte do tyłu, w lekkich, kolorowych sukienkach, śmiały się i otwierały paki tulipanów. Przerażony możliwością zetknięcia się z nimi, mrugałem oczami i starałem się opanować. Traciłem poczucie rzeczywistości, bladłem. Dopiero po jakimś czasie podpływał znowu śmiech opowiadających swoje przygody chłopców, którzy na polankach zalanych słoń-

cem podglądali dziewczęta grające w dwa ognie i nagie kobiety,
z wilgotnym wzrokiem.

Wszystko co dopadało mnie teraz nagłą, obezwładniającą falą / starałem się zapomnieć, stłumić, odepchnąć od siebie. Powstrzymane obrazy wypływały, wylęgały się jak oślizgłe gady i goniły mnie z sykiem na wzgórze, gdzie biegłem, czując klucie w piersiach i łaskotanie pod pachami. Na wzniesieniu prostowałem się, poprawiałem koszulę i wdychałem rześkie powietrze, dostosowując wzrok do ścielącej się pod nogami kotliny z opadającymi stokami zagajników / oraz żółknącego żyta. Przyglądając się płaskim dachom, lśniącym wieżom, niebieskawym sadoom, miałem wrażenie, że patrzę na rodzinną miejscowość. Chciałem do niej zejść, ale słyszałem hałas chłopców; przypominałem sobie słowa Dyrektora, mówiącego o jedności a także o pielgrzymce do cudownego miejsca, gdzie mieliśmy obmyć się ze zmyzy grzechów.

Nie pamiętam czy tego samego dnia, czy kiedy indziej, szliśmy do źródła. Stałem wtedy jak zwykle na wzgórzu i obserwowałem bieganie lizusów, którzy wydzierali się na chórze, gdzie wisiały malowidła przedstawiające piekło. Starłem się poznać sens tych obrazów i patrząc na nie, doznawałem przedziwnego uczucia, że przedstawiają one nasze życie. Chłopcy wybiegali na podwórze, przepychali się łokciami i spoglądali w lewo, potem w prawo. Chciałem już uciekać do lasu, przekreślając swoje dotychczasowe życie, kiedy przypominałem sobie matkę, jej zaczerwienione oczy. Schodziłem stokiem na uginających się nogach i powtarzałem, że nie mogę stąd odejść, nie rozumiawszy otaczającego mnie świata. Wchodziłem w sam środek kolumny i szedłem nie oglądając się na boki, chociaż wiedziałem, że mijamy schronisko oplecione bluszczem, zachodzące na siebie wzniesienia, urywające się bliższe i dalsze gagajniki, szeleszczące w zapadłościach kłesy. Wiedziałem, że jestem obserwowany przez lizusów i Dyrektora, który maszerował na początku

i węszył, przełykał ślinę i zaczynał śpiewać francuską piosenkę. Melodię podchwytywali wybrani. Pozostali powtarzali refren. Piosenka w przygodnie spotkanych słuchaczach wywoływała nieoczekiwany efekt. Chłopi opierali się łokciami na grabiach, rozdziawiali usta, kobiety przestawały nawet roztrzasać siano. Melodia tymczasem zakreślała koła, zataczała kręgi i wracała po chwili lejem od gołoci i halizn.

Po pewnym czasie stąpalem po śliskich igłach, sprężystych kolkach, wdychając zbutwiałe powietrze. Rażony blaskiem, wychodząc na otwartą przestrzeń, gdzie widek zasłaniała prostopadła ściana z obsuniętym zboczem. U podnóża rdzawego urwiska poprzez zieloną łąkę, migotliwymi zakolami przerzynała się serpentyna rzeki. W kwaśnej wodzie chlapały się dzieci oraz dziewczęta, których nogi zarumienione od słońca muskały wodne odblaski. Patrząc na ich biodra, w których ~~zawalała się rozkosz~~ ^{skrypiła się} ~~rozkosz~~ ^{nie}, tęsknota mężczyzny - czułem rozsadzającą mi piersi siłę, winiłem siebie za swój detychczasowy lęk i brak zdecydowania. Zapamiętywałem się w bólu i połykałem kurz. Nie spoglądałem nikomu w oczy, czując łechtanie w gardle. Przed oczami drgały mi krwawe plamy, z których wyłaniały się skalane obrazy. Przełożony, na szczęście, otwierał usta i wychwankowie podchwytywali refren: - Madeleine, Madeleine!

Mijałem wsie, z których chłopi wyjechali furmankami w pola a gospodynie wygnały z obór krowy i okopywały teraz ziemniaki, ~~wrywały porz, zapierając się w brudach.~~ Słyszały one nasze - Madeleine - i prostowały grzbiety, odgarniały włosy, żeby na nas popatrzeć. Szliśmy zbitą gromadą, Zalani blaskiem, wzbijałiśmy stopami kurz, który osiadał w ustach. Jeżeli się chciało na nas popatrzeć, należało zasłonić dłonią oczy i kobiety zasłaniały oczy, bo wyglądałiśmy pięknie. Przed nami przewalały się krajobrazy, zapadał się horyzont - a my szliśmy dalej, wspinając się na obłę

pagórki, skąd widniały strzeliste smukłe wieże kościołów. Błyszczące białe pływają po szyję w wyspach zieleni, w mięsistych liściach, które furkotały matowymi spodami przy lekkim podmuchu.

Na koniec pojawiły się wieże okolone wiencami drzew. W trakcie zbliżania się do celu, budowla rezespchnęła korony a także splekane pnie, które nabrały przestrzeni, światła, chłodu, gdzie ułożyliśmy się na trawie. Z zabudowań klasztornych, ukrytych w głębi ogrodu, wyszedł braciszek z siostrą. Zbliżali się powoli, jakby zbierając spostrzeżenia na nasz temat. Leżeliśmy bez sił, zmęczeni i zakurzeni. Wyglądaliśmy jak jency i siostra, którą może ogarnęła fala niepokoju, zarumieniła się. Niezbyt brzydka i niezbyt ładna twarz siostry, nabrała wewnętrznego ciepła, rzęsy oczy zaślniły i niektórzy chłopcy przekręcili się na drugi bok. Dyrektor popatrzył na nich zza swoich szkielek, ale było już za późno. Braciszek podbiegł truchtem do Dyrektora, który siedział podobny do pasterza i plasnął go w policzek, pryskając śliną. Przełożony zdjął okulary, wytarł szkła chustką i wsadzając je z powrotem powiedział coś do braciszka, który opadł na pięty, zmalak, skrzywił się na twarzy i poszedł z powrotem. Odchodził potulnie za siostrą, która dla odciążenia kręciła biodrami zamiatając tresem habitu trawę.

Oczułem w nogach taki bezwład, że zaraz usnąłem. W głowie najaczęły mi dziewczęta, które kąpały się w strumieniu, pryskały się wodą i wychodziły na brzeg. Wykręcały mokre warkocze, przebierały się za krzakami, a potem uciekały z piaskiem, kiedy z zarośli wychodzili kosiarze w splewiałych kapeluszach błyskający ostrzami. Chciałem coś począć, urzeczony usiłowałem kogoś genić, ale po chwili obudzone mnie, bo odchodził z tego miejsca. Dyrektor nie miał siły, żeby śpiewać więc szliśmy w milczeniu. Rezespany, ani się obejrzał, jak przyszlismy nad rzekę, gdzie Dyrektor przywołał kilku rezbrykanych chłopców do porządku, ~~nie pozwalając im się kąpać.~~

Wszyscy usiedli na brzegu i wpatrywali się w trawę, ociągając się z wejściem do wody. Nikt nie chciał do niej wchodzić, może dlatego, że wielu nie chciało, żeby ta woda miała nas obmyć, zjednoczyć i chronić przed zakusami. Od dłuższego czasu, gdy wchodziłem na wzgórze, czułem że coś się stanie, co wstrząśnie moim dotychczasowym życiem. Pragnąłem teraz, żeby to się stało, żeby Dyrektor przegrał, gdyż wtedy spokojnie mógłbym stąd odejść. Wewnętrznie napięty bawiłem się zdębłami trawy i kowikiem każde spojrzenie przełożonego, każde drgnienie na jego twarzy. Widziałem jak przestraszeni lizusi wpatrywali się w ściągnięte brwi Dyrektera, jak wahali się, czy przyłączyć się do swoich kolegów, którzy nie kwapili się wchodzić do cudownej wody. Zaniepokojony Dyrektor podniósł się na nogi, zdjął błyszczące szkła i ~~obrazy w trawie~~, jak kolejne przyglądać się milczącym chłopcom. Podobnie jak większość ^{nie} spuściłem oczy, żeby ukryć się ze swoim buntem. Modliłem się, żeby dalej było cicho, żeby wszyscy siedzieli na brzegu. Nieoczekiwanie, w pogłębiającej się ciszy usłyszałem szelest, później kilka szelestów, i zobaczyłem kilku wybranych, ściągających spodnie. Przełożony wpatrywał się w nagie plecy, popychał wzrokiem chłopców do rzeki, która przyjęła ich z głośnym pluskiem. Pozostali wychowankowie również podnieśli głowy, wyglądało to, jakby obudzili się ze snu, bo nie starali się nawet usprawiedliwić wzrokiem, że nie poszli do rzeki, ~~gdyż woda wyciąga siły.~~

Ośmieleni chłopcy chlapali się tymczasem wodą, prychnęli, kwicze-
li z uciechy. Zaraz jednak milkli, dostrzegając nasze obojętne
twarze. Wreszcie po kilku minutach kąpieli ~~razem~~ zaczęli wychodzić
niepewnie czepiając się zwieszonych gałęzi. ~~W gęstwinie zarosli,
srebrzystych wikliny wyzimali spodnie kyskając gołymi tykami.~~

Wracaliśmy później do schroniska, mijając widziane za dnia ha-
lizny i obramowane niebem siedła, wioski, w których obecnie baby

213

grzechotały wiadrami, chrobotąły perdzewiałymi łańcuchami. Powietrze gęstniało od spadającej rosy, od zapachów zielska i dyniących łąk; coraz widoczniej, kolejnymi warstwami zapadał żurek, pogłębiał się zacierch a kolumna posuwała się wolniej, ponieważ Dyrektor nie nadązał. Spazmatycznie łapał oddech i ochryple wrzeszczał, żeby zwalniać, bo on nie będzie nas doganiał.

